

Jan Dobraczyński

# Cień Ojca

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX, WARSZAWA 2001

© Copyright for the Polish edition  
by Aleksandra Dobraczyńska-Kadzińska  
Joanna Dobraczyńska-Kuś,  
Warszawa 1997

© Copyright for the Polish edition  
by Instytut Wydawniczy Pax  
Warszawa 1997

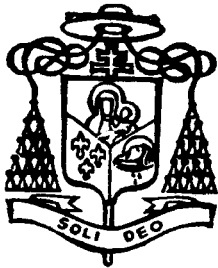
Opracowanie graficzne  
*Beata Kulesza-Damaziak*

Redaktor  
*Maria M. Mogielnicka*

Redaktor techniczny  
*Ewa Dębicka*

Korekta  
*Zespół*

ISBN 83-211-0923-3



PRYMAS POLSKI

Drogi Janie,  
w „Cierm Gie” odstawisz  
Święto Opiekuna Jerusa  
i Jego Dieway Matli...  
Pomogę zrozumieć now  
śó jista...  
Big Ci to uwodri...

+ Super Kat. Wymyśl:

Warszawa, 19. III. 1979

Prymas Polik:

*Dobrze jest mówić o Jej przywilejach,  
ale przede wszystkim trzeba móc Ją naśladować.  
Ona woli, gdy Ją naśladujemy, niż gdy podziwiamy,  
a Jej życie było takie proste...*

*A ileż trudów, ile zawodów!  
Ile razy ludzie robili wyrzuty dobremu św. Józefowi.  
Ile razy nie chcieli zapłacić za jego pracę.  
Bylibyśmy bardzo zdumieni,  
gdybyśmy wiedzieli, ile oni cierpieli...*

Św. Teresa od Dzieciątka Jezus

## Część pierwsza

# Żona

### 1

Żar południowego słońca, wtłoczony w ciasną uliczkę, wydawał się aż gęsty. Pobielone mury płonęły oślepiającym blaskiem. Mały osiołek przywiązany do odartego z kory pnia akacji zwiesił żałośnie głowę i tylko gniewnie uderzał po bokach ogonem, gdy mu zbyt często dokuczały muchy. Obok niego dwoje dzieci, przykucniętych na drodze, bawiło się w piasku. Chociaż zajęte były zabawą, gdy drogą przechodził wysoki, barczysty mężczyzna, chłopiec wyprostował się i powiedział:

– Pokój z tobą, wuju Józefie.

– I z tobą pokój, Judo – odpowiedział mężczyzna.

Na chwilę zatrzymał się przy dzieciach. Poklepał przyjaźnie po ramionach chłopca i uśmiechnął się do dziewczynki, która pozostała przykucnięta i tylko z dołu patrzyła na mężczyznę wielkimi czarnymi oczami.

– Z tobą także, Saro – rzucił małej.

Ruszył dalej. Szedł wolno, zatopiony w myślach. Dzieci obróciły głowy i patrzyły za nim.

Zatrzymał się przy furtce w murze. Zanim ją przekroczył, zamknął na chwilę oczy i wyszeptał: „Baruk ata Adonaj, melek ha olam”. Była to jedna z berak, które odmawiało się w ciągu dnia, przy różnych okazjach; tę należało odmawiać przed postawieniem ważnego kroku. Potem dopiero pchnął skrzypiącą, dobrze sobie znaną, furtkę. Sam ją kiedyś zrobił.

Za furtką był miły cień i aromatyczna woń rozgrzanych słońcem liści i traw. Obok muru szło się wąskim przejściem do ogrodu. Niby dach rozpinały się nad nim gałęzie potężnej sykomy. Wokół narosłego węzłami kory pnia znajdował się mały placyk. Słońce przenikało na ziemię przez liście i siało drgającymi plamami blasku. Niegdyś, gdy był dzieckiem, ten placyk wydawał mu się duży – można się tu było bawić. Dziś śmieszył małością.

Człowiek, który leżał na pośłaniu pod drzewem, był nakryty mimo skwaru pasiastą derką. Już z daleka słychać było jego ciężki, sapiący oddech. Józef podszedł bliżej, nachylił się nad leżącym. Stary mężczyzna drzemał. Białe, przerzedzone włosy unosiły się nad czaszką niby poderwany wiatrem puch. Usta, w których zostało tylko kilka zębów, miał rozchylone, wargi zagubione wśród białego zarostu. Dłonie o nabrzmiąłych żyłach leżały na derce i lekko drżały. Stary człowiek miał na palcu gruby, niekształtny pierścień, obwiązany nitką, aby się nie zsunął.

Cofnął się, przysiadł na niskim stołeczku, zdecydowany cierpliwie zaczekać na obudzenie się śpiącego. Wokoło panowała cisza, żadne szelesty nie dochodziły spośród liści. Ptaki zasnęły w gałęziach. Nieruchome, jakby zrobione z gliny, jaszczurki wygrzewały się na słońcu. Czasami nagle traciły swą nieruchomość i szybko, bez najmniejszego dźwięku, przebiegały z miejsca na miejsce, by znowu zastygnać w bezruchu. Jedyne ukryte w trawie cykady odmierzają czas swym cykaniem. Z dłońmi wspartymi na rozstawionych kolanach zaczął od-

mawiać nową berakę: „Bądź błogosławiony, wieczny Panie, Władco wszechświata, za to że zsyłasz swemu ludowi ciszę, abyśmy mogli myśleć o Tobie i czcić Twoją wolę...”

Od najmłodszych lat kochał ciszę. Cisza mówiła do niego dobitniej niż głosy. Żądała wciąż tego samego: czekania. Obok biegło życie – niespokojne i hałaśliwe. Padało tyle słów niepotrzebnych, tyle skarg nie przemyślanych, tyle zapewnień, które naprawdę nic nie znaczyły... Tkwił w tym nurcie ze swoją ciszą, niby kamień w korycie potoku. Czekał – choć właściwie nie wiedział, na co czeka. Czekał na to, co mu miała powiedzieć cisza.

Co wieczór – gdy minął czas upału – na placu za wsią rozlegały się bębenki i fletnie. Młodzież schodziła się na zabawy i tańce. Biegli na nie także młodszy bracia Józefa. Z daleka dochodziły do niego wesołe głosy, śmiechy, klaskanie...

Nie towarzyszył braciom nigdy. To nie znaczyło, że nic go do zabawy nie ciągnęło. Był przecież młodym mężczyzną. Przychodziły chwile pokusy. Wezwania ciszy walczyły z wezwaniem serca. Ale cisza zawsze zwyciężała.

Dni płynęły wypełnione pracą w warsztacie. Pracę dzieliły chwile odmawianych berak. W szabat, we dni wspólnych modlitw szedł do synagogi. Gdy przychodził jego dzień, nakładał taliss, wstawał z miejsca, podchodził do pulpitu, brał z rąk hazzana święty zwój Tory nawinięty na drewniany wałek. Odczytywał mocnym głosem właściwą paraszę, obrócony twarzą w stronę, gdzie wznosiła się wciąż jeszcze nie wykończona świątynia.

W warsztacie miał zawsze wiele roboty. Nigdy nie brakło ludzi przychodzących z zamówieniami. Był znany z solidności i zręczności. A przy tym za robotę nie żądał wiele. Podczas układów z zamawiającym nie było nigdy targów. Wiedzano, że gdy ustalił cenę, odpowiadała ona prawdziwej wartości materiału i skromnej należności za pracę. Dotrzymywał także obiecanego terminu.